Nr. 14. Warszawa, dnia 22 Marca (3 Kwietnia) 1872 roku. **ROK VIII.**

OPIEKUN DOMOWY.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch.

Biuro Redakcji: w Warszawie, ulica Nowy Świat Nr. 30 (nowy).

Cena prenumeraty:

Na prowincyi.
rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

W Warszawie:
rocznie rs. 3 kop.—
kwartalnie „ 75
Półrocznie „ 1 „ 50
miesięcznie — „ 25

Serya trzecia

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hös icka ul. Senatorska Nr. 496; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

O NAUCZANIU POCZĄTKOWEM.

Nauczanie początkowe, albo inaczej mówiąc, nauczanie dzieci odpowiednio do dalszego przeznaczenia dziecka, dwojaki przybiera kierunek. Jeżeli na niem ograniczyć się ma naukowe kształcenie, ma ono na celu: pomódz do dalszego rozwinięcia władz umysłowych, nauczyć czytać, pisać, rachować, trochę rysować, i udzielić pewien zapas wiadomości, o otaczającej przyrodzie i innych mających zastosowanie w praktycznem życiu; tak prowadzi się to nauczanie w szkołach elementarnych, ludowych. Jeżeli zaś dziecię ma wstąpić z czasem do gimnazjum, albo w ogólności odebrać wyższe wykształcenie,—nauczanie początkowe przybiera charakter przygotowawczy do przyszłych nauk i różni się od poprzednio określonego tem, że ów zaokrąglony zapas wiadomości ustępuje niejako na drugi plan, a natomiast występuje dążenie do powolnego wyrabiania w dziecku zdolności do pojmowania książek naukowym językiem napisanych, do ściślejszych rozumowań, do myślenia w dziedzinie więcej abstrakcyjnej.

Przerywam na chwilę tok rzeczy, dla objaśnienia użytego poprzednio ogólnikowego wyrażenia: „pomódz do prędszego rozwinięcia władz umysłowych;" — pierwszorzędny to bowiem warunek dobrego nauczania, i dlatego dobrze zdać sobie sprawę należy, w jaki sposób nauczanie może tu być pomocne. Nie siląc się na filozoficzne i wyczerpujące traktowanie tej kwestyi, powiem rzecz w słowach krótkich i prostych.

Czem się objawia działalność umysłowa człowieka? — Człowiek spostrzega, (rozumieć tu należy i porównywanie) zdaje sobie sprawę ze swoich spostrzeżeń, zapamiętywa je i nakoniec tworzy, [1]) a twórczość ta w rozmaitych stopniach, rozmaitym ludziom właściwa, jest szczytem jego działalności, owocem poprzedniej pracy umysłowej.

Umysł się rozwija, gdy rozwijają się, to jest rosną zdolności spostrzegawcze. Zdolności te w zarodzie tkwią w każdym człowieku, objawiają się w najmniejszem dziecięciu przy zetknięciu się z przedmiotami do spostrzegania,—rozwijają się wraz z życiem, t. j. jednocześnie z rozwojem fizycznego organizmu, w miarę coraz dłuższego i w obszerniejszym zakresie odbywającego się spostrzegania. Innemi słowy, umysł rozwija się sam przez się, jeżeli życie praktyczne daje mu sposobność do działania;—podobnie jak rozwijają się siły fizyczne, przez najprostsze z życiem związane używanie onych: chodzenie, podnoszenie, przenoszenie ciężarów i t. p.

Jakim więc sposobem nauczanie może pomódz naturze i życiu praktycznemu w rozwinięciu umysłu? Oto w ten sam sposób, w jaki sztuczna gimnastyka pomaga w rozwinięciu sił fizycznych; — w gimnastyce są, jakby spotęgowane i w pewien sposób usystematyzowane, ruchy naszych muskułów;—nauczanie powinno w systematycznem porządku, w dostatecznej obfitości poddawać przedmioty, pobudzać do spostrzegania, baczyć by spostrzeżenia były zapamiętane. Ztąd wniosek: początkowa nauka, jeśli ma być sprzyjającą okolicznością w życiu dla umysłowego rozwinięcia — powinna być spostrzegawczą.

Opuściliśmy tu jeden wzgląd,—twórczość, ale ta jak powiedzieliśmy, jest owocem poprzedniej pracy umysłowej i można tylko w pewnym maleńkim stopniu wpływać na jej rozwój. Rozbiór jednak tej kwestyi za daleko by nas zaprowadził, poprzestaniemy tu więc tylko na uwadze, że dobrze prowadzone spostrzeganie, jako przyczyn a, wpływa pomyślnie na skutek, t. j. na twórczość.

* * *

Z powyżej określonych dwóch kierunków początkowego nauczania, drugi będzie przedmiotem naszego zajęcia. Nauczanie to prowadzi się u nas pospolicie w domu, a nawet nie mamy odpowiednich zakładów publicznych—bo ogródki freblowskie i istniejące przy pensjach klasy wstępne — całości nie przeprowadzają.

Opiszę najpierw w krótkości, jak w ogólne przeprowadza się u nas ta część domowego wychowania.

Ledwie dziecię wyszło z niemowlęctwa, uczy się je paplać obcemi językami, i w ten sposób na samym zaraz wstępie gwałci się naturalny rozwój władz jego umysłowych. Potem torturują dziecię sylabizowaniem, dopóki nie nauczą je czytać, a następnie pisać. Gdy to dokonają, zaczyna się właściwe przygotowanie do szkół, obok naturalnie, niezaniedbywanej i najczęściej lekcjami popartej nauki języków obcych. Kto tą przygotowawczą do szkół naukę prowadzi? Uczeń klass wyższych, student uniwersytetu, a w najlepszym razie guwerner lub guwernantka. O wartości pedagogicznej pierwszych tych przewodników—zbytecznie jest mówić. Przypatrzmy się bliżej naszemu guwernerowi i naszej guwernantce, typ to specjalny, nam jedynie właściwy.

Guwernerami nazywają się u nas ludzie, nie mający w ogólności żadnego pojęcia o pedagogice i metodach nauczania, nie czyniący więc zadość najpierwszemu wymaganemu od nich gdzieindziej warunkowi; znający co najwięcej jakotako wykładane przez nich przedmioty. Przystępując więc do nauczania, oznaczają godziny na oddzielne nauki: gramatykę, geografję, arytmetykę i t. p., polecają zakupienie odpowiednio zatytułowanych książek, sami zaś najczęściej nie biorą ich nawet do ręki, (a choćby i wzięli nie znajdą tam tego, czego im koniecznie potrzeba, t. j. przynajmniej jednego rozdziału o sposobach nauczania gramatyki, geografii i t. p.) dają je dzieciom, każąc im się na pamięć nauczyć kartka za kartką tego, co tam wydrukowano; lepsi zaznaczają ustępy, wiersze, a nawet połówki wiersza, które można opuścić. Wybrańcy usiłują, choć tu już nie z ich winy, bez skutku wytłomaczyć dzieciom, o co rzecz idzie.

Przy takiem nauczaniu znika nauczyciel, występuje książka. Gdyby ta odpowiednio właściwościom dziecęcego umysłu była napisaną, to przy starannych ustnych objaśnieniach można by z niej było rzeczywiście czegoś się nauczyć, ale najczęściej tak nie jest. W książkach dawanych dzieciom do ręki znajdujemy systematyczny układ naukowy, jest tam mnóstwo szczegółów początkowej nauce nieodpowiednich i zaczynają się one zwykle od tego, na czem z dzieckiem skończyć należy — od ogólnikowych określeń, będących wynikiem wiekowych spostrzeżeń, wyrażonych językiem dla dziecka niezrozumiałym. Nauka ta, to dla dziecka jakiś świat obcy, nowy, nieprzebytą dla jego umysłu przepaścią oddzielony od tego, co widzi, czego się dotyka, co więc z natury rzeczy, jest początkiem wszelkiej wiedzy. Uczy się biedne dziecię jakby we śnie męczącym, bierze wszystko na pamięć lub mechanicznie, nie staje się nawet prawdziwym posiadaczem tych wszystkich wiadomości gwałtem w jego umysł wtłaczanych i dopiero znacznie później, gdy umysł sam z siebie dojrzeje, spostrzega związek między tem, czego go uczono, i co

[1]) Nie należy tu brać wyrazu twórczość względnie do społecznej działalności człowieka, ale tylko umysłowej,—poglądy więc samodzielne, pomysły, (nie zależnie od tego, czy zostaną wykonane, czy nie) marzenia nakoniec fantazyjne wszystko to są objawy działalności umysłu w stanie tworzenia.

w małej tylko cząstce w pamięci zatrzymał, a tem — co jest rzeczywiście i obejmuje w istotne swe posiadanie tą naukę.

Guwernerowie nasi i guwernantki, choć niby specjaliści w swoim zawodzie, choć dużo dysputują o rozwinięciu umysłu, — ostatecznie nie wiedzą, ani czego, ani jak dzieci uczyć należy; o nauce okazowej, o elementarnej nauce geometryi, o czytaniu przygotowawczem do późniejszej książkowej nauki, nigdy oni nie słyszeli podobnie jak nie wiedzą o tem—że gramatyki uczy się nie z książki, ale przez umiejętne naprowadzenie ucznia do spostrzegania zjawisk mowy,—że arytmetyka nie ogranicza się na mechanicznem wykonywaniu działań na piśmie,—że pierwszym krokiem do nauki geografii jest dobre przypatrzenie się i nakreślenie planu pokoju, w którym się dziecię znajduje. Zbytecznem jest dowodzić, że takie nauczanie nie przygotowuje do przyszłych naukowych zajęć i bynajmniej nie pomaga do rozwoju sił umysłowych, bo jak powiedzieliśmy poprzednio, nauczanie wtedy tylko jest w tym względzie rzeczywiście pomocnem, gdy jest oparte na spostrzeżeniach dziecka, przeciwnie mniej lub więcej szkodliwie na umysł oddziaływa, zależnie od tego, czy mniej, czy więcej o umysł się opiera, i nawet zabiłoby go, t. j. zrobiłoby dziecko zupełnem idjotą, gdyby się całkowicie o umysł oparło, podobnie jak praca fizyczna nad siły, zabić może fizyczny rozwój dziecięcia. Zapyta się kto może, jakim sposobem nauka wymija niejako umysł i w części tylko na niego oddziaływa? Latwo na to odpowiedzieć, że główną częścią składową tego nauczania—jest uczenie się, tak zwane na pamięć, zadawanych ustępów, *kucie*, mówiąc technicznym językiem, i ich recytowanie. Otóż obie te manipulacje mały mają związek z umysłem, polegają one na wyrobieniu szczególnej zdolności—włożeniu organów mowy do jak najzupełniej bezmyślnego wyrzucania długiego szeregu wyrazów, zamienienie dziecka na samogrającą pozytywkę, w której rolę klucza nakręcającego—spełnia w niezmiernie oznaczonej formie dane zapytanie, lub podpowiedzenie pierwszego wyrazu.

Z ostatniej uwagi wynika, że nauczanie to nawet nie kształci pamięci, bo z drugiej strony pamięci samej kształcić nie można, — jakimżeby sposobem umysł mógł zapamiętać, zatrzymać w sobie pojęcie, które weń zupełnie nie weszło.

Koniecznem następstwem takiej początkowej nauki—jest niedołęstwo w dalszem kształceniu objawiające się najwyraźniej, gdy dziecię wstąpi do szkół, do gimnazjum. Tam więcej jak trzy czwarte uczniów, nie ma według zdania rodziców, zdolności do matematyki, do składni łacińskiej i t. p. A jakimże sposobem można nie mieć zdolności do matematyki lub składni językowéj? Nauki te polegają na zwróceniu wyżej określonej działalności umysłowej, inaczej mówiąc na zastosowania tak zwanego zdrowego rozsądku, chłopskiego rozumu, do faktów nie z chłopskiego wprawdzie życia. Ale my na to właśnie dzieci nasze uczymy, aby te fakta były dla ucznia tem samem, czem dla nieukształconego człowieka są okoliczności życia powszedniego. Niektórzy rodzice posuwają się tak daleko, że już w uczniach klasy pierwszej upatrują brak zdolności do arytmetyki tam wykładanej, zapominając, że arytmetyka liczb całkowitych, to rzecz życia codziennego, że do niej każdy człowiek, który nigdy nauczyciela, książki, ani szkółki nie widział, nie tylko ma zdolności, ale ją umie. Jeśli zaś ta nauka trudno uczniowi przychodzi, pochodzi to ztąd, że go poprzednie nauczanie stanowczo wepchnęło na drogę mechanizmu, że już nie umie spojrzeć ze stanowiska zdrowego nawet rozsądku, na rzecz przedstawioną mu w porze, zwanej lekcją.

To kulawe, a z wielkim trudem, z nadwerężeniem częstokroć zdrowia przechodzenie kursu gimnazjalnego, odniesienie z niego małych lub nawet żadnych korzyści, oto bezpośredni skutek źle prowadzonego początkowego nauczania. Jeżeli się dalej zapuścimy — zgodzi się może czytelnik na to, że powszechny u nas zwyczaj sądzenia dorywczo, a stanowczo o wszystkiem, bez dostatecznego zbadania rzeczy, jeżeli nie bierze początku w złem nauczaniu, to przynajmniej znalazłby lekarstwo w dobrem.

* * *

Zajmiemy się teraz szczegółowiej pojedyńczemi częściami początkowego nauczania. Zaczniemy od obcych języków.

Nie zdołam wprost, dowodnie przekonać, że nauka ta zbyt wcześnie rozpoczęta, szkodliwie na umysłowy rozwój dziecka oddziaływa, — jest to nawet może niemożebne, bo wpływu czegoś na umysł nie można dociec bezpośrednio, ani pod nożem anatoma ani za pomocą odczynników chemicznych; — pośrednio także trudno, bo trzebaby chyba z dwojga dzieci, identycznie do siebie podobnych, kształcących się w zupełnie jednakich warunkach, jedno uczyć obcego języka, a drugie nie, — następnie porównać je z sobą. To jednak każdy spostrzedz może, że dziecię słabe umysłowo, gdy zacznie uczyć się kilku na raz obcych języków — słabnie stopniowo coraz bardziej, — i dojść nakoniec może do zupełnego idjotyzmu. — co miejsca by mieć nie mogło, gdyby nauka ta obojętnie względem umysłu się zachowywała.

Każdy zatem wie o tem, że w dojrzalszym wieku, gdzie pamięć, acz mniej żywa i wrażliwa, aniżeli w dziecku — jest jednak silniejszą i trwalszą, — mówienie obcym językiem daleko trudniej przychodzi, jak małemu dziecku. Rzecz to na pozór dziwna — i sądzę, że tak tylko można ją objaśnić: Dwie albo trzy różne mowy na języku i w umyśle dziecka — to anomalja, skrzywienie porządku przez naturę wskazanego; otóż wszelkie anomalje łatwiej dają się przeprowadzić na organizmach młodych aniżeli bardziej dojrzałych. Łodydze młodego drzewka można wzbronić rość prosto; im dziecię młodsze, tem łatwiej nauczyć je sztuk łamanych; ale ani to drzewko skrzywione, ani to dziecię połamane nie będą się już rozwijać prawidłowo, zostaną choremi na całe życie. Tak samo rzecz się ma i tutaj; dziecię łatwo nauczy się paplać drugim językiem — ale powstanie przez to jakiś chaos w jego umyśle; każde pojęcie bowiem ma dwa nazwania, każda myśl dwojako się wypowiada. Dziecko nie ma właściwie wtedy przyrodzonej mowy, wprawdzie ta której więcej używa, zajmuje w jego umyśle pierwsze miejsce, ale mając rywalkę, mniej ona się w dziecku gruntuje, mniej staje się cząstką niego samego — mniej jasno dziecię rozumie, co się doń mówi, mniej jasno się wysławia.

A z drugiej strony, jakąż istotną korzyść przynosi ta wczesna nauka obcych języków? Oszczędności w czasie nie ma tu żadnej, bo trzeba ją potem ciągle uprawiać, — dziecię bowiem w krótkim przeciągu czasu zapomina języka, jeśli go nie ma w użyciu. Zwolennikom tej wczesnej nauki zostaje tylko jeden argument, że dobrej wymowy nabyć można tylko w wieku dziecięcym. To prawda,— i jeżeli ktoś uważa, że czysta wymowa ma jakąś rzetelną wartość po za granicami naszej dziecinnej próżności — ten niechaj jak najwcześniej zaczyna tę naukę. Tylko że trudno to przeprowadzić, bo wtedy tylko dobrze się mówić będzie, gdy czas bardzo długi, lat kilkanaście przestawać się będzie z człowiekiem dobrze mówiącym. A zkąd wziąść takiego człowieka? na prawdziwych guwernerów sprowadzonych z zagranicy stać tylko bogaczów; dla ludzi średniej zamożności pozostanie chyba uciec się do guwernerów i guwernantek rekrutowanych między lokajami i kucharkami paryzkiemi. Znaleźliby się rodzice, którzyby się nie zawahali i w takie ręce powierzyć swe dzieci, — bo dobra wymowa języka, to rzecz tak w wychowaniu ważna, że można coś dla niej poświęcić. Lecz niestety ci guwernerowie mówią tylko ulicznym żargonem. Nasze guwernantki, choćby jak najlepiej język znały, mówią nim nie zawsze dobrze — gdyż rzecz to nie tak łatwa do nabycia. Weźmy naprzykład język francuzki, tak u nas rozpowszechniony, którym tak lubimy odróżniać się od pospolitych śmiertelników; powinnibyśmy nim mówić doskonale — a jednak wyjąwszy pewną towarzyską koterję, która go za swój przyjęła, uczyniła nawet jeśli nie jedynym przedmiotem swych studjów, to przynajmniej najważniejszym z niewielu — i w której w skutek tego, nie trudno spotkać ludzi mówiących dobrze, — ogół kołysze się tylko słodkiem marzeniem, że dobrze włada językiem. Dzięki wczesnej nauce, nabywa się pewnego rodzaju biegłości w mówieniu, nie zbyt rażącego sposobu wymawiania charakterystycznych dzwięków jak *eu, an* i t, p. — ale owo nie dające się określić cieniowanie w wymawianiu i w akcencie, składnia, właściwe sposoby mówienia, pozostają obcemi, — i nie o wiele mniej kaleczemy uszy rodowitego francuza, co do naszego sposobu mówienia nieprzywykłego, jak ci, co nie zaczynali tej nauki w dzieciństwie. Jednem słowem dobra wymowa, to złote runo—niezmiernie trudno dające się posiąść i najpraktyczniej, westchnąwszy żałośnie, nie kusić się o zdobycie onego; — dobrze na tem wyjdą obie strony — dzieci i rodzice.

Pozostaje nam jeszcze wskazać, jak naukę obcych języków prowadzić u nas należy. W szkołach naszych wykładają język niemiecki; gdy więc dziecię uczęszcza do szkół, można, nie uprzedzając bynajmniej szkoły w tym względzie, nie ucząc jednocześnie innego języka, np. francuzkiego, poprzeć tylko szkolną naukę przez zajęcie domowe. Język zresztą niemiecki, bezwzględnie biorąc, ważniejszy jest dla nas, jak francuzki — z jednej bowiem strony, Niemcy to nasi sąsiedzi, z drugiej, literatura niemiecka tylko w dziedzinie denerwujących romansów ustępuje francuzkiej — w innych zaś gałęziach Niemcy i sami tworzą bardzo dużo i skwapliwie tłomaczą, co się lepszego tylko u innych pojawi. Pamiętać przytem należy, że prawdziwym celem nauki języka — jest rozu-

mienie książek, a pisanie i mówienie dopiero w specjalnym jakimś zawodzie stają się potrzebnemi.

Co do metody, jakiej się trzymać należy, to zbytecznie dodawać, że przyjęta przez nasze guwernantki metoda, polegająca na uczeniu się z początku wokabuł, a potem zapisywaniu kilku liber papieru tłomaczeniami, — nie jest odpowiednią. Najlepszem i najłatwiejszem do wykonania — jest uczenie podług podręczników Ollendorfa; trudności są tam tak doskonale stopniowane, że prowadzić tę naukę może osoba bardzo mało znająca język, — potrzeba tylko by umiała myśleć, i jednocześnie z uczniem swoim, sama się według tej metody uczyła, ciągle o kilka kart ucznia wyprzedzając. Zwróciłbym jednakże uwagę, że tylko z początku nauki, wykonywać należy tłomaczenia na język, którego się uczy, — potem poprzestać tylko należy na tłomamaczeniu z języka.

Bezwzględnie najlepiej jest nie rozmazywać tej nauki na lat kilka, raz ją stanowczo rozpocząwszy przeprowadzić z pewną, że tak powiem siłą; lecz do tego potrzeba już znacznie wyrobionego umysłu, i dlatego wziąść się do tego należy nie wcześniej, aż po skończeniu lat 14 lub 15; wówczas przy bardzo małej pomocy, w niedługim przeciągu czasu ($1^1/_2$ do $2^1/_2$ lat, po trzy razy na tydzień), może dojść do zrozumienia książek w obcym języku napisanych. Umysł dojrzały usilnie w tym kierunku pracujący, zdobyć może tenże sam stopień umiejętności językowej w dwa lub trzy miesiące.

* * *

Z kolei mówić nam przychodzi o nauce czytania i połączonej z nią nauce pisania. Zaczynają u nas od nauki czytania, prowadzonej po większej części według metody niewłaściwie zwanej sylabizowaniem, a którą by nazwać należało *naciągniętem* głoskowaniem, *nazwisko* bowiem każdej głoski wymawia się oddzielnie, i z tego ma się urobić zgłoska czyli sylaba, będąca dopiero istotną częścią mającego się przeczytać wyrazu. Podkreśliliśmy powyżej dwa wyrazy, dla zwrócenia uwagi, że nie wymawia się głoski, tylko dowolnie nadaną jej nazwę, której to nazwy zupełnie w zgłosce, a więc i w wyrazie, nie słychać.

Nie będziemy się tu rozwodzić nad pośrednim moralnym wpływem, jaki ta nauka wywiera na dzieci, zniechęcając je do książki i nauki, wystawiemy tu tylko te niezmierne trudności, jakie dziecię musi pokonać, nim zrobi pierwszy krok na drodze rzeczywistego czytania.

W dziecku przystępującem do nauki czytania, zdolności umysłowe wyższego rzędu t. j. te, za pomocą których kombinujemy z sobą pojęcia oderwane i jakby kontrolujemy wrażenia przez zmysły do nas dochodzące,—zdolności te drzemią dopiero w zarodku; nad umysłem dziecka panują wrażenia zmysłowe, one są początkiem i despotycznie kierują jego myśleniem.

Otóż takiemu dziecku każemy mówić: *bea to ba, dezet-i-a to dzia* i t. p.; najokropniej tym sposobem gwałcimy umysłowość dziecięcia, zmuszając je do najoczywistszego zaprzeczania zmysłowi słuchu. Straszny powstaje zamęt w główce dziecka, oszołomione, nie mogąc uchwycić nici przewodniej, wpada w jakąś gorączkę umysłową, zapomina tego, co już umiało, cierpi okropnie, z płaczem i wstrętem bierze elementarz do ręki. Coby powiedział człowiek dorosły, z rozwiniętym umysłem, z dojrzałą pamięcią, znający kolory, gdyby mu kazano, wskazując kolor czerwony, mówić—to niebieski, żółty — to czarny i t. p., — a przyrównanie to, gdyby nawet kolorów było tyle, co zgłosek w języku, jest jeszcze słabem. Gdyby to jeszcze nazwiska wszystkich spółgłosek jednakowym samogłoskowym dźwiękiem się kończyły, *możeby* dziecko zrozumiało jakoś, że to *e* w środku znika, — ale tam później przychodzi *kaa, ela*; niepodobna żadnego odnaleść związku, dziecię w żaden sposób z wygłoszonego: *bea, kaa, ela* urobić nie może *ba, ka, la*; a wziąłem tu tylko zgłoski najprostsze, najłatwiejsze. Zapyta się może czytelnik,—jeżeli więc dziecko nie urabia sobie zgłoski z pojedyńczych wymówionych nazw głosek, jakim sposobem uczy się nakoniec czytać, — bo pamiętać każdą zgłoskę, owym powyżej określonym pozytywkowym sposobem, jest fizycznym niepodobieństwem. Uczy się w ten sposób że, gdy przejdzie pierwsze oszołomienie z orjentuje się, odzyska przytomność umysłu i zdolność spostrzegania, — spostrzega i zapamiętywa, że gdy przy kształcie *b* stoi kształt *a*, trzeba przeczytać *ba*, — a raz do tego doszedłszy buduje sobie ono mniej więcej systemat, oparty na patrzeniu, który, ażeby długiemi słowy nie określać, przedstawiam w tabliczce:

ba „ bo bi . . . .
ca ce co ci . . . .
da de do „ . . . .
. . . .;

rozciąga go sobie do innych rodzajów zgłosek i czyta w ten sposób że najpierw, dla zadość uczynienia uczącemu, wymawia nazwisko każdej głoski oddzielnie, a potem niezależnie od tego co już wymówiło, zbiera oczyma (nie słuchem) te głoski w jedną zgłoskę i odczytuje ją. Lecz gdy mu przyjdzie przeczytać wyraz wielozgłoskowy, ponieważ to nakręcone głoskowanie, w środek wsunięte, nie pozwala zapamiętać przeczytanych już zgłosek, — zatrzymuje się czas jakiś wraca do początku wyrazu i czyta tym swoim drugim sposobem każdą zgłoskę jedna po drugiej i w ten sposób odczytuje wyraz.

Rozpisałem się tak obszernie nad rozbiorem tej metody odnośnie do dziecka, bo chciałbym przekonać wierzących w nią jeszcze, że stosowanie jej jest torturą, jakby ciężką obłożną chorobą dla dziecięcego umysłu, zmuszonego samemu odrzucić systematycznie poddawany mu fałsz i znaleść prawdę — istotę rzeczy. Pozostaje mi zwrócić jeszcze uwagę, że uczenie podług tej metody jest połączone z ogromną stratą czasu: raz traci się ten czas, który schodzi nim dziecko dojdzie do prawdy, — potem traci się czas stale przy czytaniu każdego wyrazu, bo robiąc z pojedyńczej głoski zgłoskę, wyrazy pięcio lub sześciozgłoskowe zamieniamy na dwudziestokilko zgłoskowe.

Racjonalnych metod nauczania czytać jest kilka, — opisywać ich tu nie będziemy, wspomnimy tylko, że ostatecznie przyjętą w nich jest dwojaka zasada: albo uczyć się wyrazów czytać — albo pisać, — w tym drugim razie czytanie samo przez się przychodzi. Chcącym uczyć wedle metody pierwszego rodzaju, zalecić możemy elementarz p. Sławińskiego p. t. „Początkowa nauka czytania i pisania;“ — pomimo wielu usterek, z warszawskich elementarzy jest on najlepszym, właściwie mówiąc, jedynym na naukowych zasadach opartym.(*) *(d. c. n.)*

(*) Ostatnio wydany elementarz p. Anczyca, choć już względnie postępowy, ma zaraz z początku tę ważną wadę, że uczy obu alfabetów: wielkiego i małego — co dzi ecku rzecz utrudnia bez żadnej potrzeby.

DO MATKI.

O matko! kiedy syn twój wśród młodości tchnienia,
Porzuca czcze igraszki i w smętnej zadumie
Młodą myślą wciąż buja w krainie marzenia,
I nudzą go zabawy w rówieśników tłumie;
Gdy mu na widok piękna pierś zachwytem płonie
I na wyżyny sztuki wciąż rwie się namiętnie;
Gdy święte namaszczenie czując w swojem łonie
Marne szczęścia oklaski mija obojętnie,
Nie wstrzymuj go, lecz krwawe pobłogosław kroki,
Bo drogę mu wskazują najwyższe wyroki.

Lecz, gdyby wśród boleści i uczuć pogrzebu,
Jak piekła potępieniec przekleństwa słał niebu,
Że los mu szczęścia nie ściele kobierce,
Że pierś młodzieńczą kąsa rozpaczy gadzina,
Chociaż boleść rozedrze macierzyńskie serce,
Nieszczęsna matko, przeklnij swego syna.

A. P.....

MOWA

w kwestyi kobiecej wypowiedziana przez Katarzynę z lordów Stanleyów hr. Amberlay Russel—na wielkim meetingu w Londynie.

(Dokończenie, patrz Nr. 13.)

Możemyż się dziwić, że obok takiej towarzyszki danej mężczyznie, która nie była w stanie wpłynąć na podniesienie jego moralnej strony, mężczyzna słabł zwolna, aż wreszcie to duchowe słabnięcie jednostek, zakończyło się upadkiem społeczeństwa greckiego. Możemyż się dziwić, że Grecy uważali małżeństwo tylko jako rzecz zwierzęcą, zaspokajającą poziome żądania, i że u nich kobieta nie była zdolną wywołać, „tego wygórowanego zachwytu, który przewyższa wszystkie inne uczucia, pochłania człowieka całego i pcha go ku celom wzniosłym, ku wielkim czynom, albo też cią-

głem obcowaniem z ukochaną kobietą—wyrabia w nim pragnienie coraz większej doskonałości moralnej.“

Jeżeli w małżeństwie jakiem panuje nierówność umysłowa, a mąż jej nie czuje, ani się nie skarży na nią, to dlatego jedynie, że wielkie cele udoskonalenia moralnego znikły mu już z przed oczu, że wszystko co w nim było szlachetnem, wyższem dążeniem, zabite zostało tym zgubnym wpływem, jaki wywarło ciągłe zetknięcie z istotą poziomą i pospolitą.

Dziwnem jest to wielkie podobieństwo, jakie widzimy między życiem dawniejszych Greczynek, a kobiet zamężnych w dzisiejszych czasach. Jeżeli jest ubogą—praca domowa cały jej czas zabiera; jeżeli żyje wśród wygód i dostatków—ma znów za dużo wolnego czasu, tłumy sług, piastunek, nauczycieli, guwernantek, wszelkiego rodzaju pomocników i pomocnic, jakich za pieniądze mieć można, ubiegają się o to, aby z rąk jej odebrać obowiązki domowe i słodkie troski macierzyńskie. Pozwólcie mi raz jeszcze zwrotkę moją powtórzyć,—pozwólcie mi zażądać pracy dla bezczynnych rąk tej kobiety, *której umysł nie ma zajęcia, ręce nie znają pracy, myśl nie troszczy się o nic, serce żyje często niewłaściwie, a cała jej istota pogrążona w tej bezczynności, w jakiej chce ją mieć opinja, ona karłowacieje i upada ciągle w tem niedołęztwie,* które uznają za właściwe jej pozycyi idealnej. Czy tych nieskończenie długich godzin próżniaczego żywota nie mogłaby wielka pani zapełnić pracą, kształceniem się, nauką odpowiednią jej zdolnościom lub oddać się sprawom ogółu. Ile razy kobiety probowały dokonać jakiej zmiany w obecnym stanie rzeczy lub tylko uczuły jej potrzebę, tyle razy ruch ten zbawienny tłumiono przestrogą (tak ważną rolę grającą w wychowaniu kobiet), że największą zasługą kobiety jest: *aby ani źle, ani dobrze nie mówiono o niej. Pierwsza męczennica co w obec tysiącznego tłumu widzów dała życie swoje za wiarę wspaniale zaprzeczyła teoryi podobnej doskonałości kobiecej.* A czyliż teoryi tej nie zaprzeczy także życie naszej królowej, całe poświęcone wielkim sprawom dziejowym, całe oddane pracy politycznej, społecznej, urzędowej? Czy nieprzerwany jej zawód publiczny, te ceremonje i obchody, w których ona grać musi główną rolę, czy nieustanne kształcenie umysłu potrzebne do wypełnienia jej królewskich obowiązków, czy takie życie zapytuję, publicznym sprawom przeważnie poświęcone, odejmuje jej urok kobiecości — czy mimo to nie jest ona kochającą matką, wdową do głębi serca bolejącą, czy jej to ujmuje choć trochę tego ciepła serdecznego, tego współczucia, jakie ma dla wszystkich cierpień i smutków, które dojdą do jej wiadomości? Stawiana nam jest i słusznie, jako wzór do naśladowania, a całe jej życie dowodzi, że ani jej sprawy królewskie, ani zajęcie się sprawami kraju, ani oklaski tłumu, których jej nie brak kiedykolwiek się ukaże, nic jej nie przeszkadzało nigdy wypełniać obowiązków domowych, w domowem pożyciu mieć szczęście prawdziwe i dawać je w zamian rodzinie.

Sądzę, że wkrótce przyjdzie czas, w którym bezczynność próżniaczą uważać przestaną za rzecz pożądaną dla kobiet, że nadeszła już chwila, w której praca będzie uważaną za rzecz w samej sobie dobrą, zbawienną i moralnie korzystną. Jeżeli zaś jest dobrą i potrzebną dla mas—to z pewnością dobrze jest także i jednostce przyczyniać się takową do powszechnego dobra,—wspomnijmy tu słowa filozofa: „Co dobre dla ula, dobre też i dla pszczoły.“

Przyjmując za rzecz dowiedzioną, że zmiany, jakich żądamy, nie pociągną za sobą moralnego zepsucia kobiety,—zobaczmy też ile ona materjalnych korzyści może z nich osiągnąć. Dla kobiet zamężnych prawo zarobku i własności stanie się już ulgą ogromną, wrazie jeżeli związek małżeński jest nieszczęśliwy. Tam zaś, gdzie jest szczęście domowe, interwencja prawna przestaje być potrzebną i prawo nie ma też mocy dosyć—by nakazać równość między małżonkami, wyjąwszy odnośnie własności, opieki nad dziećmi i rozwodu, których warunki dla obojga małżonków jednakowe być powinny. Cały zresztą małżeński stosunek, jako wkraczający w dziedzinę czysto moralną, z konieczności musi zależeć od charakterów i układów prywatnie między małżonkami zawartych. Wrazie gdyby kobieta, chcąc wyjść za mąż potrzebowała na to czekać lat kilka dla braku odpowiednich funduszów, z pewnością lepszą będzie i szczęśliwszą, przyspieszając własnym zarobkiem dzień połączenia z ukochanym, niżeliby nią była, trawiąc w oczekiwaniu próżniaczem najpiękniejsze chwile swego życia.

Obecna podrzędna pozycja kobiety i długie trwanie podobnego stanu rzeczy, niczem innem spowodowanem nie jest, jak tylko zgodnie z uwagą Darwina, — *walką o byt* — walką, w której istota słabszą musiała być zepchniętą na drugi plan, a nawet często rzeczywiście uciemiężoną, jak tego istotnie dowodzi stosunek kobiety względem prawa, w wytworzeniu którego sami tylko mężczyzni udział mieli. W pierwotnych czasach prawo siły było jedynem prawem świata; w miarę postępu cywilizacyi—cnoty bohatersko-wojenne ustąpiły miejsca łagodniejszym, a każdy wiek wedle pojęć swoich o cnocie wyrobił sobie jej ideał.

Cywilizacja naszej epoki wytworzyła sobie ideał, do którego zarówno kobieta jak i mężczyzna dojść mogą. W wiekach bohaterstwa wojennego, kobieta rzadko odznaczyć się mogła, a chociaż Joanna d'Arc stanowi świetny pod tym względem wyjątek, zawsze jednak zwycięztwo zostawało przy sile fizycznej. W miarę rozwijania się wznioślejszych pojęć o cnocie, zajęła też i kobieta wyższe miejsce w społeczeństwie i wywalczyła sobie byt duchowy. Ci, którzy uważają posiadanie za dowód uzdolnienia, nie mogą zaprzeczyć, że zdolności kobiet nadają im prawo do zajmowania się pracami umysłowemi. Dosyć jest rzucić okiem na historję i literaturę, ażeby ujrzeć dowód uzdolnienia kobiet w tak świetnych przykładach, jak pp: Fry, Guyon, Hanuak Mose, Roland, de Staël, Sommerville, Miss Carpenter, Miss Cobbe, nie licząc wielu innych, których prace w rozmaitym szły kierunku, obejmując swą działalnością różne sfery ducha ludzkiego.

Dziś, kiedy przy obecnych pojęciach o życiu i ciągłym rozwoju sztuk i nauk, sfera działalności ogólnej rozszerzyła się znacznie, pomoc pracy kobiecej nie będzie nieużyteczną. A skoro kobiety uzyskają wstęp na pole pracy politycznej, dotąd przed niemi zamknięte, dowiodą one praw swoich do egzystencyi takowej — zdolnościami (nie wątpię) znakomitemi w tej sferze działania, skoro w życiu powszednie tak po mistrzowsku dyplomatyzują, ażeby ciemiężącym je prawom nie poddać się. Im więcej kobiet weźmie udział w tym ruchu, tem prędzej staniemy u celu; a skoro wolno nam będzie głosować, z pewnością kwestje nas kobiet tylko wyłącznie się tyczące, ustąpią miejsca kwestjom tyczącym się ogółu. Potrzeby zaś ogółu będą lepiej zrozumiane, bo już nietylko wszystkie klassy mężczyzn, ale i kobiety będą przypuszczone do wyświecenia potrzeb i nędzy społeczeństwa naszego. A któż lepiej od kobiet wskazać może cierpienia istniejące dziś, a które na przyszłość usunięte być mogą. Czyż nie najwięcej kobiety ucierpiały na tem, że mężczyzni stanowili prawa o nich, o ich własności, o ich zdolnościach, o ich dzieciach bez nich, to jest bez dokładnej znajomości potrzeb ogółu. Posiadać władzę polityczną jest to już mieć nad sobą opiekę; proszę też o nią dla kobiet, jako o łaskę lub prawo przywilejem nadane. W ostatnich kilku latach z pomocą literatury, prassy i mów rozlicznych, pojęcia ogółu znaczny postęp w tej kwestyi uczyniły.

Powiadają nam nieraz, że szopa dla wotujących przeznaczona, nie jest wcale miejscem stosownem dla *lady*. Lecz nauczyło mnie doświadczenie, że owa szopa jest miejscem daleko bezpieczniejszem, niż trybuna w dniu nominacyi, albo publiczny plac targowy w dniu głosowania, a przecież opinja publiczna uznała oba te miejsca za stosowne dla żon i znajomych kandydatów elekcyjnych. Jeżeli nawet pobyt w tych miejscach nie jest zbyt przyjemnym, zanadto hałaśliwym, jeżeli przypadkiem wózek mąki lub jaj, któremu było polecono wyrazić czyjąś niechęć polityczną, zabłąka się w drodze i wpadnie do świętego przybytku *lady*, to się przypuszcza ogólnie, że przez miłość dla męża znosi to ona cierpliwie. Otóż ja proszę, niech w imię miłości kraju, w imię dobrych reform, które kobieta może przeprowadzić, niech tejże lady wolno będzie znosić nieprzyjemności daleko mniejsze. P. Stuart Mill najpierwej w 1867 r. proponował nadanie kobietom swobód politycznych i miał za sobą 75 głosów na ogólną ilość 273. W liczbie tych 75 głosów znajdowali się dwaj znakomici członkowie dzisiejszego rządu p. Bright i Hausfield. P. Jakób Bright wniósł bill o zniesieniu niezdolności politycznej kobiet w tymże jeszcze roku, i przy drugiem odczytaniu—bill przeszedł większością 30 głosów. Odrzucono jednak propozycję poddania tego billu pod rozbiór komitetu.

W obec takiego stanu rzeczy, trzeba nam ponowić nasze usiłowania w celu pozyskania dostatecznej ilości głosów przychylnych i dostatecznej ilości wsi i miasteczek nastających na to, ażeby sprawa nasza została poddaną dyskusjom parlamentarnym. Będzie to najpewniejszy sposób przeciągnięcia na naszą stronę głosów niezdecydowanych i apatycznych. Skłonimy przez to przeciwników, aby walczyli z nami bronią rozumowania i poważnej dyskusji, nie zaś bronią śmieszności.

Pierwszy *meeting* stowarzyszenia w tym celu zawiązanego odbył się d. 17 Lipca 1869 r., a drugi d. 26 Marca w tymże samym roku w Londynie. Jak na jednym, tak i na drugim prezydowała Mistr. Taylor, a kilka pań miało mowy doskonale rzecz traktujące. Na pierwszym *meeting'u* zrobił p. Mill uwagę, że w naszej sprawie różnorodne siły pracują: siła sprawiedliwości, postęp wieku, wzrastająca przewaga siły moralnej nad fizyczną, idea filantropii przychodząca w pomoc słabym i uciśnionym, idea demokracyi, uważająca, każdą klasę nie reprezentowaną politycznie, jako pozbawioną opie-

ki, nowe pojęcia rozwoju indywidualnego, wreszcie nowy obyczaj oceniania każdej istoty wedle jej rzeczywistej wewnętrznej wartości. To ostatnie powinno już być dostatecznem, ażeby wszystkich ludzi zrównać w społeczeństwie chrześcijańskiem, nie tylko w obec Boga, ale i w obec prawa.

Jest jeszcze inne stowarzyszenie, mające na celu przyznanie prawa własności kobietom zamężnym. Do tego stowarzyszenia należy mnóstwo kobiet, i dzięki ich pracy, opinja publiczna w ostatnich czterech latach zrobiła ogromny krok naprzód w pojmowaniu tej kwestyi. Oba te stowarzyszenia układają petycje do parlamentu. Petycje te są użyteczne, zawierają bowiem objaśnienia potrzebne dla tych, których wykształcenie polityczne na nizkim stoi stopniu; świadczą też zarazem o prawdziwej potrzebie reformy, której oświecony ogół tak się ciągle i natarczywie domaga. Nieświadomość kobiet w ważnych nieraz zmianach politycznych, brana jest często za apatję; ale raz tylko przekonajcie kobiety, że słusznym ich żądaniom wymierzycie sprawiedliwość,—a zniknie bez śladu mniemana obojętność i apatja—staną się wkrótce również wykształconemi politycznie, jak nimi są mężczyzni nasi. Ale do tego potrzeba koniecznie otworzyć kobietom podwoje parlamentu, tak jak je robotnikom otworzyć musiano. Zaledwie kobietom przyznano głos w sprawach municypalnych, a natychmiast w małem miasteczku Leicester, dwa do trzech tysięcy imion kobiecych stanęło na kartach regestru municypalnego. Czy to można nazwać obojętnością? Dokonano też zmian wielkich w wychowaniu kobiet, otwarto dla nich w *Hitekin* kollegjum, takie same, jak w *Cambridge;* prócz tego profesorowie Uniwersytetów Londyńskiego i Edymburgskiego, miewali dla kobiet odczyty, stanowiące kompletne kursa różnych nauk. Kwestja edukacyi kobiet jest zbyt obszerną, aby ją tu rozbierać. Wiele jednak osób sądzi, że rozstrzyga wyczerpująco tę kwestję powiedzeniem: „Kobieta nie powinna przekraczać złotych bram wiedzy.” Chcą zapewne przez to powiedzieć, że kobieta nie powinna uczyć się do tego stopnia, ażeby mogła czynić odkrycia i wynalazki, wzbogacające wiedzę, unieśmiertelniające jej imię, dające jej ogromne korzyści materjalne i niezrównane zadowolenie osobiste. I dla czegóż kobieta nie powinna zaznawać szczęścia tak szlachetnego? Czy dla tego jedynie, że ma ciało inaczej ukształcone od mężczyzny? Odpowiedzi rozsądnej, nie ma na to pytanie.

Nie stawiajcie więc przeszkód kobietom w obieraniu sobie zawodów rozmaitych. Nie jestże to bowiem stratą nietylko dla niej samej, ale dla całego społeczeństwa, jeżeli praca, nauka i energja całej jednej połowy rodu ludzkiego, będzie mieć przed sobą zamknięte wszelkie pole działania? Czy w mężczyznie tak mało jest wiary we wrodzoną zacność natury kobiecej, tak mało wiary w jej instynkt macierzyństwa, że aż potrzebują zazdrośnie zamykać przed nią wszystkie drogi życia i strzedz ją w tak ciasnych granicach, ażeby każdą zmusić do zamęzcia nieraz wbrew jej woli, wbrew jej uczuciu i *z rozpaczą w sercu?* Czy myślicie, że takie związki dobry mają wpływ na rodzinę i na społeczeństwo? Przeciwnie,—sprowadzają nam te rozliczne nieszczęścia i zhańbienia rodzin, w których matka zapomina o obowiązkach, a szuka szczęścia po za domem. Właśnie w miarę, jak oświata kobiet wzrastać będzie, poznają one jaśniej co jest najwłaściwszym dla nich zawodem, lepiej pojmować zaczną ważność i piękność powołania swego, a przedewszystkiem zrozumieją, że powołanie kobiety nie różni się znowu tak dalece od powołania mężczyzny, ażeby przypadała w podziale: „*Mężczyznie praca, a kobiecie łzy.*” Wszelkie zawody powinny być przed kobietami otwarte, nie idzie jednak zatem, ażeby kobiety zrobiły się kowalami, tragarzami, żołnierzami, oraczami i t. p. Konkurencja sama wystarczy, ażeby je powstrzymać od niewłaściwych zawodów. Ekonomja polityczna jasno nas uczy, jak konkurencja działała od stworzenia świata i działać nadal będzie w podobnych zdarzeniach.

Niezdolny—zawsze usunąć będzie się musiał przed zdolniejszym.

Pozostaje nam jeszcze przekonać się, czy kobiety nie mogą pełnić obowiązków doktora, professora, prawnika, urzędnika, buchhaltera, drukarza, subjekta sklepowego, kupca, równie dobrze jak je dotąd pełnili mężczyzni.

Czy powyżej wyliczonym zawodom nie podołają siły i zdolności kobiece, czy są na przeszkodzie jakie racje filozoficzne,—proszę nad tem sumiennie się zastanowić.

Dla streszczenia wszystkiego cośmy pobieżnie dotknęli w tej mowie naszej i dla jaśniejszego orzeczenia żądań naszych uszczęśliwienia i równouprawnienia kobiet—wyliczę po kolei, jakich to reform domagamy się koniecznie:

Żądamy: 1) Aby wychowanie kobiet stanęło na takiej wysokości, ażeby im dało możność zużytkowania i korzystania ze zdolności wszechstronnych, któremi Bóg obdarzył obie płci zarówno, a które to korzyści były dotąd przywilejem wyłącznie przez mężczyzn zagarniętym.

2) Jako naturalne następstwo tego żądania, pragniemy jeszcze ażeby stopnie uniwersyteckie choćby najwyższe, oraz nagrody, stypendja i t. p., były rozdawane podług zasługi, bez względu na to, czy te zasługi będą się mieścić w ciele niewieściem czy też mężkiem, tak, aby wyższe zdolności kobiece nie marnowały się dla braku uznania i uprawy, ale przeciwnie zachęcane były i obracały się na pożytek społeczeństwa.

3) Żeby wszystkie zawody, rzemiosła i prace były otwarte dla kobiet.

4) Żeby kobiety zamężne miały sobie przyznane prawo własności oraz prawo osobistego jej strzeżenia. Kobieta uboga powinna mieć prawo ubezpieczyć swój dorobek tak samo, jak bogata ubezpiecza swój posag za pomocą dowolnych układów przedślubnych i intercyzy.

5) Żeby wdowa była prawem uznaną za główną, jedyną i naturalną opiekunkę swoich dzieci i ich mienia, i żeby kobiety były członkami rad familijnych i opiekunkami sierot.

6) Żeby kobiety przestały już raz być małoletniemi w obliczu prawa.

7) Żeby kobietom uzdolnionym do spraw społecznych i politycznych, zajęcie się temi sprawami było dozwolone. Nie widzimy bowiem, ażeby ludzkość tak niezmiernie obfitowała w znakomite zdolności, żeby dobrowolnie, znajdujące się w drugiej połowie ludzkości, odrzucać. Może właśnie dlatego widzimy tyle anormalnych cierpień, tyle złego i tyle niemoralności w naszem społeczeństwie, że tylko mężczyzni bez naradzenia się z nami stanowili prawa o nas i o naszych dzieciach.

8) Żeby prawo i opinja uznały, za stosowne i przyzwoite, każde zajęcie dla kobiet, odpowiednie ich siłom i zasadom moralności.

9) Żeby została zmieniona podległość prawna żony w stosunku małżeńskim. Podległość dobrowolna, wypływająca z przywiązania zobopólnego zostać się może na zawsze.

10) Żeby praca kobiety była tak samo płaconą, jak nią jest praca mężczyzny.

Słyszę was pytających: „Jeżeli te żądania spełnionemi zostaną, komuż to korzyść przyniesie.” Odpowiem bez wahania, że wszystkim, a wszystkim. Tak mężczyznom jak i kobietom, tak młodym jak i w wieku będącym, tak bogatym jak i ubogim. A i dzieci niemało zyskają na tem, gdy przez dobrą edukację, przez pracę i przez możność działania swobodnego, wydoskonalimy im ich matki.

Jeżeli przez rownouprawnienie kobiet, chociaż małej liczbie ulży się w życiu, to już i to będzie wielkiem dobrem; ale ja mam nadzieję, że skutki żądanych przezemnie zmian, większej będą doniosłości. W każdym razie pozwólcie mi mieć tę nadzieję i wierzyć w nią. Poeta powiada:

„*Die Welt wird alt und wird wieder jung*
Doch der Mensch hofft immer Verbesserung.”

„O! smutnym zaiste będzie dzień taki, w którym zwątpimy ostatecznie o postępie, tak społeczeństwa całego, jak i jednostki.

Na zakończenie pozwólcie mi się odwołać do rozdziału „o rodzinie” wyjętego z pięknej książki noszącej tytuł: „*O obowiązkach mężczyzny*”. Autorem jej jest wielki patrjota włoski, człowiek bardzo znany między swoimi.

„Jak każdy żywioł wchodzący w skład życia ludzkiego, tak i pożycie rodzinne zdolnem jest do postępu. Szukajcie w kobiecie nie tylko przyjemności życia, ale natchnienia i siły, podwojenia waszych władz moralnych i umysłowych. Oddalcie od siebie wszelką myśl o wyższości mężczyzn—*gdyż nie macie żadnej. Długotrwałe pokrzywdzenie, mniej staranna edukacja, prawem utrwalone uciemiężenie kobiety*—oto są przyczyny, dla których istnieje ta pozorna niższość umysłowa, której dziś używacie, jako broni przeciwko kobietom.

Mężczyzna i kobieta, są to dwie gałęzie wielkiego, a wspólnego drzewa—ludzkości. Nie ma nierówności między niemi, jest tylko (jak zresztą i między mężczyznami) różnica dążeń i specjalnego uzdolnienia. Czy dwie nuty składające muzyczny akord mogą być nierównej wartości lub odmiennej natury? Mężczyzna i kobieta są jak dwie nuty zgodne, bez których nie zabrzmi akord w chórze ludzkości.

„Uważajcie odtąd kobietę, jako wspólniczkę i towarzyszkę nietylko radości waszych i smutków, ale myśli nawet i pragnień waszych, nauk i prac dla postępu społecznego podjętych. Uważajcie ją, jako równą w życiu cywilnem i politycznem.

„Bądźcie, jako dwa skrzydła unoszące ducha ludzkości ku ideałowi, który nam osiągnąć przeznaczono.”

Może wyżej przytoczone słowa wydadzą wam się zbyt ideal-

nemi, a jednak nie mniej jest prawdą, że ideał taki w życie ogółu wcielonym być może, skoro w życiu jednostek *nieraz wcielonym już bywał*. W każdym razie jest rzeczą dowiedzioną: że kobieta może i powinna mieć prawo osiągnąć najwyższy rozwój swojej istoty, może dojść do najwznioślejszych celów, jeżeli nie rozpraszając się na małostki, ku temu pięknemu celowi zwróci zdolności, jakiemi jest obdarowaną. Może ona sercem ukochać ludzkość równie gorąco, jak ukochanego miłuje i może stać się równie dla ludzkości, jak i dla ukochanego dzielną pomocnicą w pracy i w życiu. Oto są najgorętsze żądania tych, które najgłośniej stają w obronie praw kobiecych.

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom II.

(*Ciąg dalszy*).

— Ranek piękny, ogród rozkoszny—mówił dalej, używajmy i tych przyjemności dopóki możemy—życie krótkie, trzeba korzystać z darów jakie nam obecność daje. Mędrcy wszystkich wieków zgadzają się na to.

Zdawało się Sybilli, że nie mogłaby mu powiedzieć: „nie", choćby chciała.

Zapomniała, że miała być czarującą, piękną, — a czułą tylko, że musi spełniać jego wolę. Tak przechadzali się, rozmawiając nie o miłości, ani o troskach Dermota, nie o przyszłości, ale o poranku i jego piękności, o życiu i przejściach jego, jasnych lub ponurych; a we wszystkich tych pogadankach przebijała się miłość jego dla Sybilli. Ona mówiła mało, gdyż serce miała przepełnione boleścią. Nie mogła zapomnieć o owej czarnej chmurze widnokręgu jego życia. Często gdy mówił, spoglądała na niego, pragnąc otwarcie powiedzieć:

— Kiedy mnie kochasz, przyciśnijże mnie na prawdę do swego serca; opowiedz mi swoje troski niech je podzielę.

Ale wstrzymywała ją od tego zarówno pokora, jak i duma. Ostatnia nie dozwalała jej wpraszać się w zaufanie, a pierwsza szeptała, że nie zasłużyła jeszcze na takowe. Była jeszcze dzieckiem. Myślała sobie że Dermot może ją kocha, ale zawsze nieco za dziecko uważa.

Coś z tego wewnętrznego poddania się dostrzegł Dermot; gdy bowiem zawrócili do domu, stanął i rzekł do niej poważnie.

— Sybillo, jesteś jedną z najbezinteresowniejszych, i najwięcej poświęcających się istot, jakie w życiu znałem. Zawsze dla drugich zapominasz o sobie. I dlatego twoja obecność taki słodki czar wywiera!

Sybilla zarumieniła się i zadrżała. Niebyło to już bowiem uwielbieniem jej pięknej powierzchowności.

— O, jeżeli Bóg szczęśliwie troskę odwróci, jakież szczęście mnie czeka — myślała skrycie, gdy razem wchodzili do domu. Nie widziała jednak tego co Dermot widział, to jest, że pani Kennedy wyglądała oknem, ze złośliwym uśmiechem na twarzy.

— Mniejsza z tem—pomyślał Dermot ze wzgardą, ale zawsze nie czuł się tak pewnym i śmiałym, jak kilka godzin temu.

ROZDZIAŁ XIV.

Nie sama Blanka wyglądała. Małżonek jej stał za nią, obserwując ją, tak jak ona obserwowała parę przechadzającą się po ogrodzie. Wiedziała że stał za nią i obróciła się ku niemu mając jeszcze ów złośliwy uśmiech na licach.

— Nie mają miny bardzo uszczęśliwionych—rzekła; pan Dermot widać nie jest namiętnym kochankiem.

— Ciekawy jestem co znaczyło to całowanie ręki? — dodał Kennedy.

Błyskawica mignęła w niebieskich oczach jego żony.

— O, Sybilla ma ładną rękę—rzekła—tylko dziwię się, że się pozwala w nią całować—zwykle taka pierzchliwa.

— Pewno jej to przyjemność sprawia — rzekł Kennedy z uśmiechem. Obraziła się na mnie o to, że ożeniłem się z tobą moje serce—i widać stara się pocieszyć w inny sposób.

Spoglądał na żonę, ale ta nie uważała jego badawczego wzroku. Pani Kennedy była zuchwałą i nieskrupulatną kobietą, ale nie odznaczała się przenikliwością. Mogła upolować jaką tajemnicę, ale na charakterach się nie znała. Dawniej mylnie pojęła Sybillę i Dermota, a teraz nie pojmowała swego małżonka. Kennedy był w ogólności bardzo skryty. Mógł popełnić szaleństwo i wziąść za żonę zbyt młodą osobę; mógł zmarnotrawić majątek dla dogodzenia jej kaprysom; mógł nawet tak dalece uledz jej wpływowi, że zobojętniał dla jedynego swego dziecka, ale nie mógł dla niej stać się ufnym, wierzącym. Z tego że raz odkrył jej swoje zamiary sądziła, że ma już klucz od jego serca i oddała się niebezpiecznemu zarozumieniu.

— Zawsze jeszcze życzysz sobie tego małżeństwa? rzekła doń uśmiechając się.

— Nigdy nie zmieniam raz powziętych zamiarów moja droga.

— Wprawdzie pan Dermot nie jest w moim guście, ani też ja w jego—mówiła dalej pani Kennedy,—ale z tem wszystkiem sądzę, że będzie to odpowiedni mąż dla Sybilli, byle tylko ona chciała.

Kennedy roześmiał się i pokiwał głową.

— Nie boję się tego—ładny chłopiec.

Pani Kennedy nie mogła znieść tego w milczeniu.

— Ładny? ma czerwone włosy i zielone oczy,—rzekła z pogardą; różnimy się w naszych pojęciach o pięknie, panie Kennedy.

— Sybilli podobają się jego włosy i oczy — spokojnie odpowiedział Kennedy.

— No, trudno dysputować o gustach—rzekła żona wpadając w nagły i nienaturalny ton żartobliwy — tylko trudno mi będzie kiedykolwiek być bardzo uprzejmą dla niego.

Uprzejmą dla niego?—Kennedy postanowił nigdy jej nie dać do tego sposobności. Sądziła, że pragnie tego małżeństwa, a tymczasem teraz już wcale nie miał go na celu. Kennedy był zazdrosny. Nie wiedział tego, nie przyznałby się sam przed sobą, a jednak w czynach ulegał takiemu uczuciu. W czasie kiedy jeszcze na Blankę Cains spoglądał, jako obojętny obserwator, schwytał kilka czułych spojrzeń, jakie wymieniła z Dermotem, i które obudziły w nim niejasne podejrzenie. Ponieważ następne fakty zadawały kłam takiemu przypuszczeniu, więc zapomniał o niem; teraz nie chciał wyznać przed sobą, że mu wróciło na pamięć, a jednak tak było. Pod wpływem tego wspomnienia zrzekł się zamiaru oddania córki za przyjaciela, podobno w niej zakochanego. Bo jeżeliby odżyła dawna skłonność do jego żony – to się zdarza— nie miło byłoby mieć takiego zięcia w swoim domu, przezorność nakazywała nie dopuszczać takiej możności i pan Kennedy, jako człowiek przezorny gotów był raczej dziesięć razy poświęcić Sybillę i Dermota, niż narazić się na podobne niebezpieczeństwo. Słuchał więc słodko kwaskowych komentarzy swojej żony o nagłej miłości Dermota dla Sybilli, a wyciągając z nich pewne niemiłe wnioski, postanowił pozbyć się na zawsze rywala, a na pierwszy początek oddalić go od córki.

Gdyby był zamiar swój wyznał Blance, mogłoby to być dla nich obojga z pożytkiem, ale Kennedy z nikim nie lubił dzielić się swojemi zamiarami, a tym mniej z taką osobą, którą podejrzywał. Tymbardziej, że pamiętał o znaczących uwagach, jakie czyniła w rozmowie o panu Smith. Podejrzenie wstąpiło do jego serca i nie chciało go już opuścić.

— Ożenić go z Sybillą — myślała sobie pani Kennedy opuściwszy małżonka—nigdy nie dopuszczę tego.

— Lękam się iżby miłosna historja której się przypatruję, nie zamieniła się w dramat — myślała pani Mush na drugi dzień po balu.

Przez dziesięć ostatnich lat życia pani ta po śmierci męża wykluczona z czynnego życia, przybrała rolę obserwatorki. Nabrała znacznego doświadczenia i bardzo trafnie mogła ocenić, czy sprawy idą pomyślnie, czy też na opak. Pierwszy symptomat niepomyślności uderzał ją natychmiast, tak jak fałszywa nuta razi uszy wykształconego muzyka—a obecnie kilka fałszywych nut wykryła. Sybilla smutną miała minę. Dermot poważną, a jednak nie posprzeczali się i tego była pewna. Pani Kennedy zdawała się żywym obrazem szczęścia, a ciągle miała na oku swoją pasierbicę, widziała to pani Mush, a nadewszystko widziała, że pan Kennedy nieustannie miał swoją żone w obserwacyi.

— Spadnie cios—biedactwo nie widzi tego.

I w istocie nie widziała, bo szlachetne natury często ulegają zaślepieniu. Dermot coś dostrzegał, ale niejasno, a Sybilla myślała tylko o nim, zapominając zresztą o wszystkiem. Nie często przepędzali czas ze sobą, ale kto tylko ich widział w jednym pokoju, ten nie mógł się mylić co do natury ich uczuć względem siebie; widziała to i Blanka i czuła się bezsilną. Czyniła co mogła ażeby zapobiedz niebezpieczeństwu. Była czułą dla męża, zakochaną w nim, śmiała się z czerwonych włosów i zielonych oczu Dermota, a Kennedy przyjmował to wszystko, jako rzecz mu należną i w żadne objaśnienia się nie wdawał. Pani Kennedy nie była zazdrosną, bo nigdy go nie kochała, ale tego znieść nie mogła, iżby Sybilla wyszła za jej dawnego kochanka i żeby nią oboje mieli gardzić za jej nierozsądek i zdradę. Gorszą rzeczą niż jej miłość i pogar-

da było przypuszczenie, iż mogą zamieszkać w Saint-Vincent, a ją wygnać z tego maleńkiego światka, w którym stała się Królową. Pani Kennedy była to praktyczna kobieta, nawet w nienawiści.

A tym czasem ku temu zdawały się dążyć wypadki. Dermot był widocznie zakochany, Sybilla szczęśliwa. Tydzień przeszedł nie przynosząc zmiany w stosunkach mieszkańców Saint-Vincent. Gdy pewnego poranku Dermot spotkał Sybillę przy wejściu na wschody, przystąpił do niej i pokazując otwarty list w ręku, rzekł z szyderczym, tryumfującym uśmiechem:

— Pierwszy akt komedyi, pierwsza pieśń epopei skończona pomyślnie. Wprawdzie nieprzyjaciel nie pokonany, ale mogę go trzymać na wodzy czas jakiś.

Wziął ją za rękę i uczuł jak drżała; ale drzwi od pokoju pani Kennedy otworzyły się. Dermot puścił rękę Sybilli i z niecierpliwym marsem, na czole rzekł:

— Udaję się dziś do miasteczka. Czy pani nie ma jakiego sprawunku?

— O! tysiące — wesoło odpowiedziała Sybilla. Potrzeba mi książek, nut, nasion—czy mam zrobić konotatkę?

— Proszę o nią.

Wyjęła pugilaresik i oparłszy się o poręcz wschodów, napisała listę imaginacyjnych sprawunków i podała mu ją poważnie.

Dermot wiedział, że pani Kennedy obserwuje go z góry, słyszał szelest jej sukni, ale nie dbał o to. Serce mu rozpływało się ze szczęścia i miłości, gdy spoglądał w promieniejącą twarz Sybilli i czytał wyraz jej czarnych oczu.

— Wrócę wcześnie do domu — rzekł biorąc notatkę z jej ręki; a Sybilla zgadywała drogę, którą będzie wracał i nadzieje, jaką miał spotkania jej na tej drodze. Ale jakkolwiek pragnęła tego spotkania postanowiła nie iść. Nie wypada jej, — jeżeli chce z nią mówić, niech sam szuka okazyi.

— Do widzenia—a nie zapomnij pan o notatce—rzekła wesoło,—skinęła główką i śpiesznie weszła po wschodach.

ROZDZIAŁ XV.

Gdy nadchodziła godzina powrotu Dermota, Sybilla wielką miała ochotę wyjść na jego spotkanie do ogrodu, przez który miał przechodzić, ale nie mogła się zdecydować, wstydliwość dziewicza powstrzymała ją.

— Muszę pozostać w domu—myślała sobie z żalem. Dla czegoż nie możemy tak postępować, jak czujemy? Cóżby to było złego?

Stała na progu domu, podobna do ptaszka w otworzonej klatce, nieśmiejącego jej porzucić. Uczuwszy rękę położoną na ramieniu, obróciła się z lekkiem drgnieniem i ujrzała ojca. Czy pan Kennedy wiedział dlaczego tak trwożliwie spoglądała w ogród? Czy wiedział czy nie, w niczem to nie zmieniło jego postanowienia.

— Sybillo, twoja ciotka prosiła mnie żeby ci pozwolić spędzić z nią czas jakiś i obiecałem jej to.

Zmięszana i zdziwiona Sybilla spojrzała na niego i rzekła:

— Kiedyż mam się tam udać?

— Dziś wieczór. Idź i przygotuj się.

Ledwie uwierzyć mogła tak surowemu wyrokowi.

— Ojcze, czy sprzykrzyłam ci się?—zawołała ze smutkiem.

— Nie Sybillo, dla czegobyś mi się sprzykrzyć miała? Będę cię odwiedzał codziennie. Przygotuj się prędko.

Nie mogła się opierać. Poszła i ze smutkiem poczęła składać rzeczy potrzebne na czas dłuższy. Chciała zwlekać wyjazd o ile możności, lecz nie dopuszczono tego. Kennedy sam przyszedł nalegać o pośpiech, a Sybilla musiała przyznać, że gotowa.

Gdy wychodzili z domu, zdawało jej się, że słyszy głos Dermota w ogrodzie. Spojrzała na ojca, twarz miał spokojną, niewzruszoną.

— Zdaje mi się, że to pan Dermot—rzekła.—Miał mi przynieść niektóre sprawunki z Saint-Vincent.

— Nie—odrzekł—to służący.

Trudno się było spierać, ale gdy siadała do pojazdu, ujrzała Dermota stojącego na ganku i spoglądającego na nią z wyrzutem w oku.

— To pan Dermot—rzekła znowu.

Ale Kennedy był ślepy i głuchy; wsiadł i kazał zaciąć konie.

— To jej sprawka — myślała Sybilla z boleścią w sercu — a on pomyśli, że ja z własnej woli od niego się oddalam.

Spojrzała na ojca pytającym wzrokiem, ale Kennedy przyglądał się rozwijającemu się przed nim krajobrazowi.

— To jej sprawka,—znowu pomyślała Sybilla.

Jej sprawka była o tyle, że poszepnęła projekt wizyty do panny Glyn. Ale jakkolwiek mocno pragnęła oddzielić swoją dawną przyjaciołkę od swego dawnego kochanka, pan Kennedy pragnął tego jeszcze mocniej, a Sybilla czuła to, choć sobie nie umiała wytłomaczyć.

Podróż trwała krótko; w kwadrans pan Kennedy zostawiwszy córkę swoją pannie Glyn wyjechał.

— Będę cię tu często odwiedzał,—rzekł całując ją na pożegnanie. Ale nie uwierzyła temu Sybilla—była wygnaną przez Blankę Cains.

Pobyt stały u panny Glyn zawsze wydałby się był Sybilli ciężką karą. Kochała ciotkę, ale nie mogła się zadawalniać jej wyłącznem towarzystwem. Teraz szczególniej okoliczności zwiększały jeszcze jej zmartwienie. Miss Glyn ze swej strony uważała za wielkie szczęście dla Sybilli, że się z Saint-Vincent do niej wydostała.

— Pobyt w tym domu nie był dla ciebie z pożytkiem, — mówiła spokojnie. — Ojciec nigdy wiele o tobie nie myślał, choć cię pieścił i psuł; pani Musch mojem zdaniem, niezdolna jest do dania ci opieki, a o pani Kennedy to już nie ma co mówić.

Z tego wynikało, że miss Glyn jedyną była osobą, mogącą dać stosowną opiekę Sybilli. A „opieka", to niemiłe wyrażenie dla młodych osób, zwykle przekonanych, że same sobie potrafią dać radę. Nadto Sybilla nie miała wysokiego wyobrażenia o rozsądku panny Glyn. Wiedziała, że rzucenie się jej w przedsiębiorstwo było niedorzecznością, jakże więc miała ufać w opiekę tej, która sama sobą dobrze pokierować nie umiała. Szczęściem dla domowego spokoju tych dwóch pań, owa opieka zawierała się raczej w słowach, niż w rzeczywistości. Sybilla robiła co chciała w nowem swojem siedlisku, które widać na długo zamieszkiwać miała, gdyż ojciec zaraz w pierwszym tygodniu przysłał jej fortepjan. Panna Glyn, lubiąca swoją siostrzenicę, z radością kazała ten sprzęt ustawić w salonie; Sybilla jednak na ten fakt inaczéj się zapatrywała,—kompletnie się jej na płacz zbierało.

— Ach, kiedyż go teraz zobaczę? Miss Glyn będzie mnie chętnie trzymać, ojciec mnie zaniedba, a pan Dermot nie przyjdzie do mieszkania ciotki. To sprawka macochy—czuła to z głęboką goryczą.

— Wie, że go kocham—myślała Sybilla—bo nie ukrywałam przed nią żadnej myśli, żadnego uczucia; pozbawia mnie więc jedynej nadziei, choć jej nic z tego nie przyjdzie. Przecież oddawna się go wyrzekła i poszła za mojego ojca; nie może kochać Dermota. Dla czegóż więc robi mnie nieszczęśliwą? Mogła widzieć, że nie jest jeszcze we mnie tak zakochany, że dopiero zaczynał trochę mnie kochać, może tylko dlatego, że chciałby się ożenić, a ja jedna tylko trafiłam mu się w tej chwili.

Gorzkie to były myśli, a dzień chmurny jeszcze powiększał stan rozdrażnienia Sybilli. Pod wieczór deszcz zaczął padać, a Sybilla zmęczona prozaiczną rozmową ciotki, poszła do swego pokoju. Stanęła przy oknie i oparłszy czoło o szybę spoglądała na smutny krajobraz, jaki miała przed oczami. Gdyby była w lepszem usposobieniu wydałby jej się miłym, teraz raziła ją jego dzikość i melancholja. Deszcz lał jak z cebra, ciężkie chmury szybko gnały po burzliwem niebie. Karłowate drzewa okryte ciemną zielenią chyliły się pod wichrem i zamykały ciemną linję na horyzoncie. Blade światełko słońca czasem przedzierało się przez chmury i padało ukośnie na ciemne wody rzeki i na wapienne jej wybrzeże. Ani jednej ludzkiej istoty, nigdzie chaty żadnej, nigdzie dymu nawet nie było widać. Sybilli przyszło na myśl opactwo, jego stary ogród i biblioteka za szczęśliwych czasów stryja Edwarda, i zatęskniła za swoim domem i za dawnemi szczęśliwemi chwilami. Za cóż ją wypędzono?—i jak długo wygnanie to trwać będzie?—bo było to wygnanie, choć o nim mis Glyn nie wiedziała, równie jak i o tem, że była tylko narzędziem w ręku pani Kennedy.

(*d. c. n.*)

WIENIEC.

Otóż czytelnicy, skończyły się nareszcie wszystkie umartwienia: post — umartwienie ciała, kwesty — kieszeni, odczyty publiczne — umysłu. Cieszmy się więc, jedzmy, pijmy, nic nam już nie grozi, nikt już przez czas długi, nie poprosi o grosz dla biednego, nikt nie namówi na prelekcję, z której pozbawieni dwuzłotówki wyjdziemy ziewając, —słowem, jesteśmy swobodni jak ptaszki, wolni od wszelkiego kłopotu; możemy zajadać ze smakiem, myśl wesoła może się przenosić z szynki na placek, z placka na babę, z baby do panienki, której pulchne rączki wyrabiały ciasto, lukrowały mazurki. Zapomnijmy o komplementach jakie się kucharce przy tej sposobności dostały, a zapijajmy to wszystko winem, piwem lub czystą wodą — ale ostrożnie, bo wi-

działem kilku lekarzy zacierających ręce i chytrze się uśmiechających... Nie przesądzam przyczyny tego. Być może, że ci kapłani Eskulapa cieszyli się myślą odpoczynku, jaki ich podczas świąt czeka, być może,—że naprzód podzielali radość mającą w tym czasie między ludźmi panować, ale nie jest także nieprawdopodobnem, że zbierali już myślą dwuzłotówki i rubelki, które się zazwyczaj po świętach obficie do ich kapeluszy sypią. Nie wdaję się w to, a ograniczam się tylko na zaznaczeniu owego złowróżbnego uśmiechu... I rzeczywiście, doświadczenie pokazuje, że po świętach Wielkanocnych zwykle procent chorych wzmaga się niepomiernie. Lekarze, nawet małą mający praktykę, nie wiedzą gdzie się wprzód udać. Skwapliwość w ich zapraszaniu można chyba porównać z uprzejmością dla księży, poświęcających owe baterje zapasów mających się stać później przyczyną... przyczyną... późniejszej sympatyi dla lekarzy.

* * *

Od choroby nie daleko do śmierci, żeby więc zepsuć radość i wesołość powszechną, powiem wam czytelnicy, że statystyka, ów z powołania nieprzyjaciel wszelkich mrzonek, urojeń, uniesień, sprowadzający gwałtem do rzeczywistości błąkającego się po obłokach marzyciela, wykazała, że śmiertelność Warszawy, mimo zdrowego na pozór jej położenia, jest bardzo znaczną, nawet prawie największą ze wszystkich miast europejskich. Zestawienie bowiem danych, z ostatnich lat sześciu, pokazało, że przecięciowo, rocznie na 22,99 osób umiera jedna. Stosunek to straszny i gorszy niż w największych miastach Europy. I tak w Londynie zdarza się jeden wypadek na 40 osób, w Berlinie 1 na 36,5—w Paryżu 1 na 35,1 — w Brukselli 1 na 34,6. Nawet Petersburg mimo bagnistego gruntu, na jakim jest zbudowaay, lepszy nieco przedstawia stosunek t. j. 1 na 23,6 osób. Czemu to przypisać?. Na to odpowiedź trudna. Klimat umiarkowany, położenie przy znacznej rzece, ulice miasta nie tak bardzo znowu zacieśnione, wszystko to powinno sprzyjać dobremu zdrowiu i długiemu życiu mieszkańców naszego miasta. Nędza, ta zwykła przyczyna wielkiej śmiertelności, chociaż jest jej nie mało, nie rozpanowała się znowu w Warszawie więcej jak np. w Londynie, Paryżu i innych większych miastach europejskich. Fabryk i zakładów rękodzielniczych, które zwykle znaczny procent wypadkowych śmierci spowodowywują, mamy stosunkowo bardzo mało, słowem, ze zwykłych przyczyn nadmiernej śmiertelności, żadna się tu nie da zanotować. O ile nam się zdaje, to chyba czysto lokalne przyczyny mianowicie: fatalna kanalizacja i niefortunny, massę paraliżów sprowadzający kierunek ulic Warszawy, tak nas pospiesznie na tamten świat wyprawiają.

Z porównania rozmaitych wyznań pokazało się, że największa śmiertelność panuje między katolikami, bo na 21 osób przypada 1 wypadek śmierci, podczas gdy u żydów umiera tylko 1 na 26 osób, a u prawosławnych 1 na 27 osób.

Z tego porównania wyznań pod względem śmiertelności, widzimy potwierdzenie się faktu ogólnie zaobserwowanego, że między żydami, mniejsza jest zazwyczaj śmiertelność niż między innemi wyznaniami. Powierzchowny rzut oka na tę ludność w większej połowie brudną, zaniedbaną, licho się żywiącą, zamieszkującą najwięcej zacieśnione kąty naszego grodu, na inną zupełnie myśl naprowadza. Spostrzeżono nawet, że podczas cholery rzeczywiście więcej stosunkowo żydów niż wyznawców innych religji padało ofiarą, z tem wszystkiem ogólny stosunek stanowczo na ich się stronę przechyla. Fakty podobne nie tylko u nas zaobserwowano. Statystycy różne temu naznaczali przyczyny. Jedni utrzymywali, że ten szczególny dar rozmnażania się jest jednem z dobrodziejstw któremi żydzi jako naród wybrany obsypani zostali; inni przypisują to wczesnemu zawieraniu małżeństw; inni, inne jeszcze przyczyny wynajdują, nam się znowu zdaje, że główną jest to, że oni nie pracują tak ciężko, jak ludzie do innych wyznań należący.

P. Załęski z którego rozprawy w ostatnim numerze Ekonomisty pomieszczonej, czerpiemy te wiadomości, przeprowadził także podział osób zmarłych co do wieku. Pokazało się, że połowa prawie schodzi z tego świata przed 5-ym rokiem życia; w następnych latach śmiertelność się zmniejsza tak, iż między latami 11 i 15 jest najmniej znaczna. Po piętnastym roku, znowu zwiększa się stopniowo, tak, iż najwięcej kobiet umiera między 36 a 40, mężczyzn między 46 i 50 rokiem życia. Dalej najmniej wypadków śmierci przypada na luty najwięcej na lipiec i sierpień.

Dosyć już, dosyć nudziarzu, zawołacie czytelnicy, jeżeli z was który doszedł przez baterję cyfr, aż do tego miejsca,—nie psuj nam apetytu i smaku, nie zapominaj, że twoje pismo wyjdzie w środę, a więc prawie jeszcze w święto!... Dobrze, przestanę o tem, ale zacznę o innem ale podobnego rodzaju.

* * *

Kilka razy wspomina pan Załęski o trudnościach napotykanych w zbieraniu statystycznych wiadomości. Pochodzi to z braku u nas specjalnego biór statystycznych, które we wszystkich znaczniejszych miastach istnieją. Brak ten dawał się czuć ogromnie w całej naszej literaturze. Pełno w niej było spostrzeżeń nad rozmaitemi faktami, które zagranicą miały miejsce, a kompletny brak wiadomości miejscowych. Wszystko zazwyczaj co się pisało o kraju i mieście naszem, było chwiejne i oparte na przypuszczeniach i domysłach. Dziwić się temu nie można, kto bowiem chciał zebrać bliższe jakie dane o tym lub owym objawie naszego społecznego życia, musiał przedsiębrać pracę na własną rękę, co było po prostu niemożliwem. Otóż niedogodność ta wkrótce ma być usuniętą przez zaprowadzenie bióra statystycznego, ze specjalnem przeznaczeniem dla Warszawy i gubernii królestwa. Wiadomość tę uważamy za bardzo ważną. Sprawdzenie się jej, może wpłynąć na rozwój tak materjalny, jak moralny i intellektualny naszego społeczeństwa. Zyskamy bowiem podstawę do wnioskowania, a to ostatnie wskaże nam sposoby zaradzania złemu i popieraniu dodatnich stron rozwoju naszego społeczeństwa.

* * *

Już też w tym roku nie można narzekać, że się piśmiennictwo nie rozwija, 45 czasopism nie wiele mniej dodatków, a jeszcze w dodatku do tego wszystkiego encyklopedje. Dwie z nich już wychodzą, dwie niedługo mają się ukazać, a na ile jeszcze jest projektów, to trudno już oznaczyć; wiemy tylko, że projektowana Encyklopedja systematyczna, przy obradach nad którą zapisano blisko ryzę papieru, nie ujrzy już prawdopodobnie światła dziennego. Z dwóch prospektów przez pp. Orgelbrandów i Ungra ogłoszonych oba są obiecujące, plany ich nakreślone umiejętnie, dobre chęci z obu stron objawione, cała kwestja w tem, które z tych wydawnictw lepiej, a nadewszystko praktyczniej będzie poprowadzone. Pozwolimy sobie jednak zrobić jedną uwagę. Przedsiębranie takiego wydawnictwa przez dwie na raz partje uważamy za rzecz bardzo niepraktyczną, zdaje nam się, że tak publiczność czytająca, jak i sami wydawcy lepiej by wyszli na połączeniu się i wspólnem korzystaniu ze zdolności współpracowników i zestawieniu materjałów zebranych. Słyszeliśmy nawet, że jedna z firm robiła podobne propozycje, takowe jednak przez drugą nie zostały przyjęte.

Wreszcie wypada nam wspomnieć o jednem jeszcze bardzo pożytecznego zakroju wydawnictwie.

Redakcja Przeglądu Tygodniowego zamierza, począwszy od października wydawać rodzaj Biblioteki przekładów dzieł popularno naukowych wszelkiej treści i zakresu, przez najznakomitszych pisarzy opracowanych, a nowo się ukazujących. Istotnie potrzeba podobnego wydawnictwa czuć się dawała oddawna. Język nasz tak ubogi, w oryginalne prace, koniecznie potrzebuje zasiłku od obcych. Prócz tego wydawnictwo to jedną jeszcze będzie miało zaletę, mianowicie zajmie się wyłącznie tłomaczeniem dzieł nowo się ukazujących, tym sposobem stanie się niejako organem obznajmiającym nas ciągle z ruchem umysłowym zagranicy.

Dołączywszy jeszcze do tego taniość cechującą wszystkie wydawnictwa tej Redakcyi i sumienność w ich przeprowadzaniu, pewni jesteśmy, że z owemi 50 tomami, będziemy się spotykali we wszystkich choćby najskromniejszych biblioteczkach.

Korespondencja od Redakcyi.

— *Panu Buksakowskiemu w Włocławsku.* Zawiadamiamy Pana, że półroczny komplet „Opiekuna Domowego” kosztuje wraz z przesełką rs. 2 kop. 40, ale przedewszystkiem upraszamy o dokładny adres lub wskazanie kantoru za pośrednictwem którego, odbierasz pan nasze pismo.

— Prenumeratorce z Białej Rusi. Żądane numery będą wysłane, książka, o którą p. zapytujesz kosztuje rs. 1 kop. 50. Radzimy ją nabyć i w czem możemy pośredniczyć, ale przedewszystkiem prosimy o dokładny adres.

Redakcja „Opiekuna Domowego” przeniesioną została na Nowy Świat pod Nr. 30 nowy.

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor, Bogumił Aspis.

Patrz Dodatek